

Poznaj Świat®



UKAZUJE SIĘ
OD 1948 ROKU

NR 11 (586) LISTOPAD 2005

AMERYKA ŚRODKOWA

Zmarli wracają na ucztę

ESTONIA

Tallin. Duńska twierdza

SŁOWENIA

Na narty



MADIDI

Rzeką tajemnic

CENA 7,99 (w tym 7% VAT)



www.poznajswiat.com.pl

MADIDI. 1800 KILOMETRÓW SAMOTNIE KAJAKIEM
W SERCU BOLIWIJSKIEJ DŻUNGLI

Rzeką tajemnic

■ Tekst i zdjęcia: Piotr Opacian

Jest taki zakątek Boliwii, wciśnięty między Rio Beni i Peru, a od południa podparty stokami niebotycznych Andów, gdzie zielony bezmiar pierwotnej dżungli przecięty jest tylko wstęgą kawowej wody, zwanej Rio Madidi, którą przyjmuje, gdzieś w połowie swojego biegu, jej starsza siostra Rio Beni.

Być może te same ary zbudziły mnie o świcie, być może ten sam tapir przepławia się właśnie przez rzekę i na pewno te same olbrzymie dzungle powoli, jakby niechętnie, ukazują swe kształty w podnoszącej się porannej mgle... Madidi wita mnie i zaprasza jak przed dwoma laty, tym razem jednak jestem gotowy to zaproszenie przyjąć.

Piektło czy raj?

Po peruwiańskiej stronie obszar równie niezwykle różnorodnością i bogactwem tego wszystkiego, co może zaoferować amazońska dżungla, chroniony jest w obrębie graniczącego z Boliwią Zona Reservada de Tambopata-Candamo i – dalej na zachód – Nacional Parque del Manu. Największe jego dziwy, zamknięte w granicach rezerwatu ścisłego, pilnowane są przez strażników tego zielonego raju. Tu, w Boliwii, po wschodniej stronie Rio Heath, całe dorzecze Madidi wraz z Madidi Parque Nacional stoi jeszcze ciągle otworem dla wszystkich. Nie znaczy to, że obszar ten nie ma swych własnych strażników – jego tajemnic strzeże dżungla: gęszcz pnączy uzbrojonych w kolce, jadowite węże, niezliczone zastępy maravi, zdradzieckie mokradła i – być może – ciągle nieodkryte plemię Indian. To właśnie nad górnym Madidi ma żyć dzikie plemię bezlitosnych kobiet wojowniczek lub – według innej legendy – białych Indian. Plemię to wycofało

się ponoć w niedostępne obszary dżungli i unika kontaktu z cywilizacją.

To także tutaj lub za Rio Heath po peruwiańskiej stronie od wieków ma się ukrywać Paititi, czyli El Dorado – legendarne miasto złotem opływające, w trakcie poszukiwań którego tak wielu ludzi straciło życie. To między innymi tutaj na początku dwudziestego wieku poszukiwał go człowiek legenda Ameryki Południowej – pułkownik Perry Harrison Fawcett.

To wreszcie tutaj całkiem niedawno, w roku 1998, w poszukiwaniu Paititi i owego tajemniczego plemienia zaginął norweski biolog i etnograf Lars Hafsjkold. Niektórzy wierzą, że odnalazł to plemię i żyje uwięziony w dzikich ostępach.

Jazmin Caballero Garcia, biolog i specjalista od spraw Madidi, twierdzi, że nad górnym Madidi wielokrotnie napotymano ślady Indian prowadzących wędrowny tryb życia.

Tajemnic jest więcej. Po odkryciu w tym regionie na przełomie lat 2004–2005 nowego gatunku małpy

i zarejestrowaniu kształtów niezidentyfikowanego zwierzęcia przez kamery rozmieszczone na terenie parku uruchamiane sensorem ruchu opowieści krążące wśród Indian o małpoludzie znad Madidi nie spotykają się już z ironicznym uśmiechem słuchających.

U ujścia tej właśnie Madidi do Beni stoję jak u wrót, nie znam jeszcze tylko odpowiedzi, czy doprowadzą mnie one do raju, czy do piekła.

Tam, gdzie są jeszcze ludzie

W południe, kilka kilometrów od ujścia Madidi do Beni, robi się zimno i łapie mnie solidna burza. Nie pozostaje nic innego, jak odwrócić kajak do góry dnem i czekać w strugach ulewnego deszczu na chwilę przerwy, w której rozbiję namiot na okopanym w tym czasie miejscu. Drżąc z zimna – chcę oszczędzić jedyny gruby polar, jestem świadkiem wspaniałego spektaklu.

Wyblakłe kolory tropikalnego dnia nabierają życia. Niebo przyjmuje barwę głębokiego błękitu i nisko

pochyla się nad wszystkimi możliwymi odcieniami zieleni ociekającej wodą dżungli. Nagle spomiędzy chmur wygląda słońce. Złociste promienie rozszczerzone na kropkach deszczu tworzą przepiękną tęczę. W tym samym momencie nad dżunglą przelatuje stado różowych warzęch. Cóż za widok – a aparat schowany tak głęboko! Warzęchy chowają się za zakrętem rzeki, a tęcza znika tak szybko, jak się pojawiła. To jedno z trzech ujęć na tej wyprawie, których będę żałował do końca życia.

By dotrzeć do Madidi w dziewięć dni, zamiast wymarzonego jednodniowego odpoczynku i trzech pełnych gorących posiłków przez pierwszy dzień nad tą rzeką głoduję. Pada do wieczora i nie udaje mi się rozpalić ogniska – a przecież wszystkie podstawowe produkty muszą gotować. Czuję się osłabiony. Na Beni, by tracić jak najmniej czasu, często jadłem tylko raz dziennie. Przepływanie codziennie ponad pięćdziesięciu kilometrów zabiera sporo czasu i sił. Potem brakuje ich na zdobycie drewna, rozpalenie ogniska,



U ujścia Madidi do Beni stoję jak u wrót, nie znam jeszcze tylko odpowiedzi, czy doprowadzą mnie one do raju, czy do piekła...

Pod patronatem *Różni Świat*



Piotr Opacian
nauczyciel z Kwidzyna,
dwa lata temu opisał
w „PŚ” swoją wyprawę
kajakową po Rio Beni.
W tym roku tam
powrócił, by płynąć
przez boliwijską
dżunglę śladem
tajemnic rzeki Madidi.

Za pomoc w przygotowaniu wyprawy
autor dziękuje firmie **WAYLAND**
oraz **WŁADZOM MIASTA KWIDZYNA**





Następnego dnia długo walczę o ogień. Gdy wreszcie żółte języki ognia biorą górę nad kłębam dymu, czuję się zwycięzcą.

przefiltrowanie wody... To skłania do rezygnacji z posiłku, pomimo świadomości popełniania błędu.

Następnego dnia długo „walczę o ogień”. Muszę wsiąść do kajaka i w rytmie marsza, który gra mój żołądek, płynąć wzdłuż brzegu w poszukiwaniu drzewa nadającego się na ognisko. Gdy wreszcie żółte języki ognia biorą górę nad kłębam dymu, czuję się zwycięzcą. Uczuję długo. Wypływam dopiero w południe przy ciągle zachmurzonym niebie i chłodzie zadziwiająco przenikliwym jak na tropiki. Płynie mi się dobrze – Madidi jeszcze nie odkryła swoich kart.

Dolne Madidi to Madidi „cywilizowane”. Na odcinku stu kilometrów od ujścia ulokowanych jest nad rzeką kilka wiosek, zwanych tutaj *comunidad*. Czwarta z kolei na trzydziestym piątym kilometrze jest La Esperanza, która choć największa nad Madidi, jest właściwie niewidoczna z rzeki. Na szczęście przy głównej przystani najczęściej jest przycumowanych kilka łodzi i z reguły ktoś się krząta. Stąd do wioski jest tylko pięć minut dobrego marszu dobrze widoczną ścieżką.

Tu dobrze znali Larsa Hafsijkolda. Stąd też wyruszyła jedna z poszukujących go grup. Rozmawiam o wydarzeniach sprzed siedmiu lat z uczestnikiem poszu-

kiwań – Fridem Louisą. Ma zdjęcie rodziców Larsa, na którym pokazują dużą fotografię poszukiwanego syna. Takie wydarzenia, opowiadane wieczorami przy nikłym świetle kaganka, potęgują ich wiarę w prawdziwość legend i przekazów.

Lars, wracając z jednej ze swoich samotnych, kilkumiesięcznych eskapad nad górne Madidi, zatrzymał się w La Esperanzie. Miał tam ponoć dotrzeć skrajnie wyczerpany, w podartych ubraniach, z diamentem w dłoni i silnym postanowieniem powrotu na boliwijsko-peruwiańskie pogranicze tak szybko, jak to możliwe. Miał też wspominać coś, choć niechętnie i niewyraźnie, o swoim spotkaniu z Indianami. To była jego ostatnia wyprawa, z której powrócił.

Opowieści o nieznanym plemieniu Indian wcale nie wydają się takie niewiarygodne. Jeszcze w pierwszych dziesięcioleciach dwudziestego wieku grupa etniczna Indian – Toromonów, zamieszkujących głównie na północ od Madidi, była bezlitośnie prześladowana. Istnieje przeświadczenie, że na skutek tych prześladowań pewna ich część oddzieliła się i odeszła na mało poznane tereny górnego Madidi, unikając od tamtej pory kontaktu z cywilizacją i tworząc nową wspólnotę plemienną.

Terror maravi

Już przed La Esperanzą Madidi daje mi się poznać z tej gorszej strony. Nurt na niektórych odcinkach znacznie przyspiesza – zła to dla mnie nowina. Robi się też ponownie gorąco i poznaję córy piekła – krwiożercze meszki, zwane przez miejscowych *maravi*, które będą odtąd moim największym wrogiem. Są aktywne od wschodu do zachodu słońca, nie dając chwili wytchnienia i tylko silny wiatr lub bardzo zimny dzień sprawia, że znikają. W duszny i upalny dzień, kiedy nawet leżąc, człowiek się poci odziany od stóp do czubka głowy w ubranie przesiąknięte potem, mozołnie walczę z prądem i z tęsknotą patrzę na wodę wokół mnie. Z tęsknotą, bo wykapać się, znaczy rozebrać – a na to decyduję się tylko w chwilach desperacji.

Niedaleko La Esperanzы leży *comunidad* Ojaki. Jego chat, usadowionych na wysokiej skarpie, nie sposób nie zauważyć nawet oczyma pełnymi gryzącego potu. Do brzegu przycumowany jest stateczek. Kiwają do mnie, więc dobijam do niego, demonstrując ostatkiem sił, jakim twardzielem jestem ja, gringo, samotnie płynący pośrodku Amazonii.

To handlarz, który pływa między dolnym Madidi a Riberaltą i Rurenabaque. U pana Monroya zasięgam informacji o dopływie Madidi – Rio Undumo. Tak jak w La Esperanzie, on również twierdzi, że rzeka ta po trzech dniach płynięcia w górę staje się „no navigable”. Ponoć ginie w dżungli płytka i porośnięta trawą. – Nikt tam dalej nie pływa – mówi. – To jest niemożliwe. – To dziwne – myślę sobie, ponieważ jej źródła są daleko w Andach.

Powyżej Ojaki na Madidi są jeszcze tylko dwie małe osady – senior Monroy powraca do tematu Madidi. – Ostatnim stałym punktem osadniczym jest Cam-

po Brabo, gdzie żyje Mateo ze swoją rodziną. Powinienes go odwiedzić. Dalej jest już tylko dżungla.

Od pierwszego kilometra na Madidi słyszę o tym tajemniczym Amerykaninie, który dwa lata temu wraz z żoną i dziewięciorgiem dzieci osiedlił się nad tą rzeką dalej niż ktokolwiek inny.

Oaza czystych serc

Na sto dwudziestym trzecim kilometrze rzeki, mierzonym od jej ujścia, ku wierzchołkowi stromej, glinianej skarpy prowadzą drewniane schody. Dalej ścieżka wiedzie przez pampę do małego gospodar-

stwa: drewniany dom pokryty liśćmi palmy, zagroda i szopa dla zwierząt domowych, studnia. W progu wita mnie młoda kobieta z dzieckiem na ręku. Ubrana jest w długą, prostą spódnicę, charakterystyczną bluzkę, bosa, z chustą na głowie – czyżbym trafił pod dach amiszów? W Boliwii jest ich trochę, tworzą społeczność w okolicach Santa Cruz. Mieszkają też w Boliwii „prawi podążający ścieżką Chrystusa”. Są oni przeciwni jakiegokolwiek przynależności, widzą w tych podziałach dzieło szatana. Ich jedyne przewodnikami są Chrystus i Biblia. Mieszkają wokół Rurenabaque, Ixiamas i – jak się okazało – w Campo Brabo.

Mateo: – Tu mogę wychować dzieci w czystości ducha z dala od przesiąkniętej złem cywilizacji.

Rozmawiamy też o tajemnicach Madidi: zaginionym plemieniu Indian, małpoludzie i olbrzymich zwierzętach przypominających dinozaury z lagun pampy na wschód od Beni. – Ja sama widziałam pewnego razu dużą czarną małpę. Miała wysokość dorosłego człowieka i nigdy przedtem i potem jej nie spotkałam. Wycinałam z bratem ścieżkę w dżungli, gdy nagle



Tu dobrze znali Larsa Hafsijkolda. Frid Louisa ma zdjęcie rodziców Larsa, na którym pokazują dużą fotografię poszukiwanego syna.



spomiędzy gałęzi wyłoniła się ona – opowiada Twila. – Spojrzała na nas z góry, nasze spojrzenia się spotkały i poczułam przejmujący dreszcz na całym ciele. Po chwili wolno się odwróciła i zniknęła w zielonym gąszczu. Ona tam jest! – Jakże tu nie wierzyć tym prawdziwym i głęboko wierzącym ludziom?

Niedzielne śniadanie: ryba z ryżem i sałatka z łagodnej odmiany lacoto to w większości dzieło sześciolatniego syna Mateo. To on złowił poprzedniego dnia ogromną rybę i z pomocą siostry „przywlókł” ją do domu, wyczyścił i przygotował do upieczenia. Tak, tu sześciolatnie dziecko zdolne jest wykarmić rodzinę!

Teraz – na bezludzie

Kiedy wypływam z Campo Brabo, Nicholsów odwiedza akurat indiańska rodzina z Cabinas. Mateo mówi im o moich planach dotarcia w górę rzeki poza granice parku; są wyraźnie zaskoczeni. Kiedy znikają



▲ Na odcinku stu kilometrów od ujścia ulokowanych jest nad rzeką kilka wiosek, zwanych tutaj *comunidad*.

◀ Rozmawiamy o zaginionym plemieniu Indian, małpoludzie i olbrzymich zwierzętach przypominających dinozaury z lagun pampy na wschód od Beni. Jakże tu nie wierzyć tym prawdziwym i głęboko wierzącym ludziom?

mi za zakrętem rzeki, widzę ciągle, jak kręcą głowami w geście niedowierzania i powtarzają: Solito? Zostawiwszy za sobą Campo Brabo, muszę się liczyć z tym, że przez mniej więcej trzy tygodnie nie spotkam żywej duszy. Prawdę mówiąc, na to liczę...

W czasie pory deszczowej nad środkowym i górnym Madidi można spotkać spławiających drzewo drwali – to główne bogactwo, które się tu pozyskuje. W porze suchej, kiedy poziom wody znacznie spada, działalność ta zamiera. Ponad trzysta kilometrów rzeki to dziewicza dżungla. Przez dwadzieścia trzy dni spotykam tylko dwie łodzie płynące w dół rzeki. Nadbrzeżne łąchy są natomiast pełne śladów, a z otaczającej dżungli dochodzą odgłosy wszelkich możliwych zwierząt Amazonii.

Zapach przygody

W ostępach amazońskiej selwy żyją dwa gatunki pekari: obrożne i białobrode – w Boliwii zwane *tropero*. Te drugie, większe i groźniejsze, przemierzają dżunglę w olbrzymich stadach. Poza chrząkaniem, podobnym do naszych dzików, wydają bardzo charakterystyczne metaliczne dźwięki, powstające przy uderzaniu górnych

Rio Madidi

Mapy bardzo dowolnie pokazują bieg Madidi i jej dopływów, różnią się też co do ulokowanych nad nią osad. Te, które można kupić w Europie i Ameryce Północnej, dalece odbiegają od rzeczywistości. O ile jeszcze bieg Madidi w bardzo ogólnym zarysie przypomina to, co spotykamy na miejscu, to dopływy są zupełną abstrakcją. W miejscu, gdzie na mapach jest zaznaczony jeden z dwóch głównych prawobrzeżnych dopływów Madidi, w terenie nie ma niczego. Z drugiej strony, prawie stu kilkudziesięciu kilometrów w górę rzeki, gdzie do Madidi naprawdę dochodzi duży dopływ, nic nie ma z kolei na mapach.

Najwiarygodniejszymi mapami są te, które można kupić w Wojskowym Instytucie Geografii w La Paz. Instytut ten jednak nie dysponuje jeszcze mapami topograficznymi środkowej i górnej Madidi, ani tym bardziej mapami jej dopływów.

Jeszcze gorzej przedstawia się sprawa z punktami osadniczymi. Taka osada jak Alto Madidi „rozrzucona” jest na mapach o sto pięćdziesiąt kilometrów. Santa Ana de Madidi nie istnieje – przynajmniej tam, gdzie została zaznaczona na mapach, a mieszkańcy Madidi niczego o niej nie wiedzą. Tak więc, wbrew temu co pokazują mapy, powyżej Campo Brabo usytuowanego na sto dwudziestym trzecim kilometrze rzeki po pasma górskie Andów nie ma już żadnego punktu osadniczego.



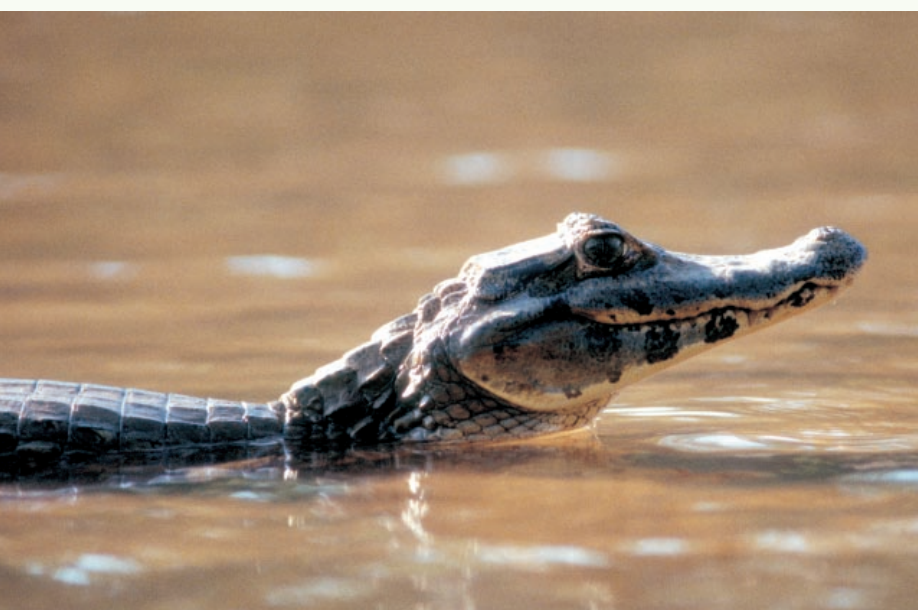
kłów o dolne, choć bowiem należą do nadrodziny świ-
niopodobnych, nie mają górnych kłów wygiętych do
góry na kształt szabli, ale skierowane w dół jak u dra-
pieżników i używają ich tak jak drapieżniki. Inną dziwną
i charakterystyczną cechą pekari jest umieszczony na
grzbiecie gruczoł, produkujący bardzo silny zapach.

Pomimo maravi staram się płynąć cicho i nasłuchi-
wać. Już trzeciego dnia od Campo Brawo udaje mi się
je zlokalizować po raz pierwszy, jednak najbliższe spo-
tkanie następuje po piętnastu dniach samotnego wio-
słowania. Z chmurą maravi wokół wspina się na pio-
nową skarpe, gdzie słyszę pekari. Zagłębiam się w gęstą
dżunglę, ciągle zerkając na kompas, by nie zostać tu
na zawsze i staram się podejść stado jak najbliżej.

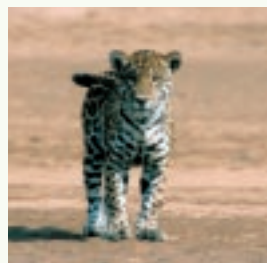
W pewnym momencie... słyszę je dookoła siebie!
Dżungla przesycona jest ich odorem, jestem w środku
stada, mając do najbliższych osobników dziesięć, pię-
naście metrów. Czuję, że sytuacja robi się niebezpiecz-
na i decyduję się wycofać.

Z dużych zwierząt najłatwiej nad Madidi zobaczyć
kapibary. Te największe gryzonie świata wyprowadzają
nad rzekę na poranne i wieczorne spacery swoje licz-
ne potomstwo – raz doliczyłem się aż dziewięciu ma-
luchów. Innym razem, tuż przed zachodem słońca,
zauważyłem siedzącą nad rzeką małą rodzinę.
Rodzice na zewnątrz i dwa maleństwa w środku.

W wodzie co jakiś czas potężne zamieszanie
– ktoś walczy o życie, ktoś o pożywienie.



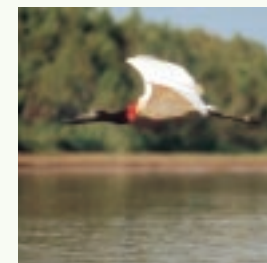
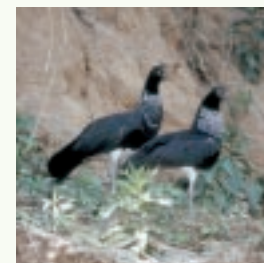
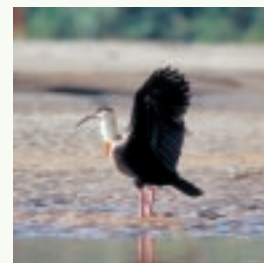
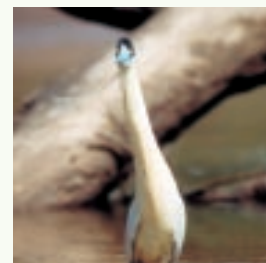
Gdy dostrzegam
w oddali żółto-czarne
cećki na tle zielonej trawy,
serce zaczyna mi walić
jak młot. Robię pierwsze
zdjęcie i podpływam
do brzegu. On też mną
zainteresowany, zaczyna
iść w moim kierunku.



Brzeg był płaski i widać było kulę zachodzącego słoń-
ca. Wyglądały jak rodzina Muminków. Chciałem je
minąć i zrobić zdjęcie w kontrze na tle zachodzącego
słońca. Wytrzymały długo. Pognały w gęszcz dopiero
wtedy, gdy byłem na ich wysokości – to drugi kadr,
którego bardzo żałuję.

Nocą z różnych stron dżungli dobiegają mnie cha-
rakterystyczne gwizdy – to nawołują się tapiry. Mają
znakomity węch i słuch, ale kiepski wzrok – w sprzy-

jających okolicznościach można je w ciągu dnia bli-
sko podejść – i raz mi się to udało. Często wychodzą
na brzeg i przepływają na drugą stronę rzeki. W księ-
życową noc dwukrotnie widziałem ich cienie. Miej-
scowi mówią, że można je łatwo zwabić, naśladując
ich gwizdy. To samo robi jaguar, kiedy na nie poluje.
Nie zdecydowałem się na nocne wabienie tapirów,
by nie prowokować jaguarów, które i bez tego dwa
razy odwiedziły mój obóz.



Spotykam się z el tigre, jak tu nazywają jaguary, także w biały dzień. Gdy dostrzegam w oddali żółto-czarne cętki na tle zielonej trawy, serce zaczyna mi walić jak młot. Robię pierwsze zdjęcie i podpływam do brzegu. On też mną zainteresowany, zaczyna iść w moim kierunku. Dystans powoli się kurczy. El tigre przypada do ziemi i zaczyna się czołgać. Nerwy mi puszcza i zamieniając aparat na strzelbę, groźnie manifestuję swą siłę. Skutkuje – odchodzi, lecz wolno i dumnie i tylko do krawędzi traw, skąd bacznie mnie obserwuje.

Dżungla wokół tętni życiem. Jest dzika, pełna zagadek, inna niż ta z dolnego Madidi. Czuję w powietrzu coś specjalnego, coś, czego nie czułem gdzie indziej i jestem pewien, że to nie tylko podniecenie i świadomość, że mogę stąd nie wrócić. Tak jak jej mieszkańcy, wyęzłam wszystkie zmysły, by właściwie odebrać sygnały, które mi przesyła, by móc w porę zareagować i wyjść cało z opresji – a dzieje się wokół dużo.

Wysoko w koronach drzew uwijają się z niewiarygodną zręcznością małpy wszelkiej maści. Są wyjce rude, największe małpy Ameryki Południowej, które późnym popołudniem dają wielominutowe koncerty wycia. Dźwięki te są niesamowite, niepodobne do wydawanych przez inne małpy. Czasami podobne są do silnych podmuchów wicheru o bardzo zmiennym natężeniu, a czasami wydaje się – i wtedy dziwne mrowienie czuje się na całym ciele, że takie dźwięki mogą pochodzić tylko od jakiejś olbrzymiej bestii schowanej w gąszczu dżungli.

Mistrzami lian i gałęzi są czepiaki czarne, które czasem schodzą do rzeki, by ochłodzić się w jej wodach. Kiedy pewnego razu wypływam z ostrego zakrętu, na brzegu zaskakują dwa osobniki zajęte popołudniową toaletą. Odległość nie większa niż piętnaście metrów. W pośpiechu chwytam aparat i, niestety, spocone dłonie nie pozwalają mi uruchomić go na czas. Po dwóch, trzech sekundach czepiaki znikają w koronach drzew, błyskawicznie wspinając się po okołodziesięciometrowej lianie. Sekwencja wspinała, trzeci raz bardzo żałuję.

Wokół rozbrzmiewa śpiew ptaków. Niektóre dają się podejść na niewielkie odległości bez potrzeby kamuflażu. To raj dla ornitologa. Tuż po wschodzie słońca gonię się codziennie wzdłuż rzeki z moim ulubionym tu ptakiem – rybaczkiem amazońskim (*Chloroceryle amazona*), próbując jak najlepiej uwiecznić go na fotografii. W promieniach porannego słońca jego upierzenie mieni się wszystkimi możliwymi odcieniami zieleni. Zawsze jednak, kiedy przestaję wiosłować,



Wydry olbrzymie, wybudzone z południowej drzemki, z lekkim zaniepokojeniem przyglądały się intruzowi.

atakują mnie tysiące maravi, wchodzą do oczu i do uszu, uniemożliwiając koncentrację nad kadrem.

W wodzie co jakiś czas potężne zamieszanie – ktoś walczy o życie, ktoś o pożywienie. Siła wirów i powstałe fale świadczą o dużym rozmiarze napastników. Czasem na sekundę spod wody wynurzy się grzbiet drapieżnika, czasem ofiara ratuje się, wyskakując nad powierzchnię wody.

Powrót wbrew sobie

Zostawiłem już daleko za sobą miejsce, gdzie na mapie widnieje Santa Ana de Madidi. Choć mówiono mi, że tam niczego nie ma, łudziłem się okruszkiem nadziei. Jakże przydałyby się świeże owoce! Od tygodnia jem tylko ryż z małą ilością mięsa. Marzę o świeżym pieczywie, mleku, słodczykach. Rzeka robi się płytka, nurt bardzo silny. Trzeba mocno pracować wiosłem, lecz... nie ma w czym. Kilka razy holuję kajak i prawie staję na płaszczyźnie rzecznej, cudem unikając bolesnej rany. Dwa, trzy dni walczę z myślą

o powrocie – to co jest dalej, nęci. Kusi mnie, by zostawić kajak i pójść pieszo. Decyzja musi być jednak inna – powrót. Po siedemnastu dniach i ponad trzydziestu kilometrach wiosłowania w górę rzeki od Campo Bravo zawracam. Po dwudziestu trzech dniach od ujęcia – codziennego wstawania o piątej, gotowania strawy na cały dzień, walki z maravi i z rzeką, „walki o ogień” przychodzi czas powrotu do cywilizacji. Przede mną około dziewięćset kilometrów wiosłowania z prądem.

Piotr Opacian



W nocy tętno puszczy jeszcze przyspiesza. Do obozu docierają zewsząd różnorodne odgłosy. Część z nich dobrze już znam, część jest dla mnie zagadką. Gdy omiotę latarką niedaleką krawędź zarośli,

widzę w jej świetle wpatrzoną we mnie niejedną parę oczu. Powracają z pamięci opowieści o tajemnicach Madidi, spotęgowane świadomością, że w promieniu setek kilometrów nikogo tu nie ma. Spotęgowane tym, że od wielu dni nie widziałem człowieka. Umysł nurtuje pytanie: Czy gdzieś tam w gąszczu czai się coś jeszcze nieznanego?

🔊 Posłuchaj wyjca!

Na www.poznajswiat.com.pl posłuchaj nocnego chóru wyjców rudych nagranych przez Piotra Opaciana w sercu dżungli.

